

## Ocalić od zapomnienia

### Franciszek J. Proch

(ur.1915 w Zielonej Górze, zm.2006 w Littleton, Kolorado)

## Wspomnienia - 3



#### Komando "Kissgrube"

Nas pozostałych w Dachau posłano do rozmaitych prac, tzw. komand. Dostałem przydział do zwirowni, zwanej oficjalnie „Kissgrube”. Stojąc po kolana w zimnej górskiej rzece „Amper” łopatami ładowaliśmy żwir z dnia rzeki, ładowaliśmy na wagoniki („lory”) i wywoziliśmy na składnicę. Wszystko oczywiście biegiem przy stałym biciu przez kapów i esesmanów. Nie daj Boże lora się wywróciła; zlatywali się wtedy kapowie, ich pomocnicy, wszyscy esesmani i obijali nieszczęśników, którym się lora wywróciła, aż do nieprzytomności.

Wytrwałem w tej pracy prawie do końca września, kiedy wieczorem na apelu zemdlałem z wyczerpania. A byłem wtedy 25-letnim mężczyzną, wysportowanym, zahartowanym przez służbę wojskową, przystosowanym do ciężkiej pracy fizycznej. Następnego dnia do pracy nie poszedłem. Komando „Kissgrube” zaliczano do ciężkich, w których pracować mieli tylko więźniowie ze „Strafkompanie” (grupy karnej).

#### „Żywy dziennik”

Stałem się bezrobotnym („Unageteilte”) – bardzo niebezpieczny stan: w każdej chwili można było wpaść na transport do innego obozu i zaczynać tam „karierę” kacetowca od nowa, zawsze w najgorszych warunkach, nie mówiąc już o wyczerpującej i wielodniowej zazwyczaj podróży w zatłoczonych wagonach, z zaopatrzeniem żywnościowym jedynie na jeden dzień. Chowaliśmy się, gdzie tylko było można. Żeby zabijać czas i zwątpienie prowadziłem „żywy dziennik”, starając się podnosić na duchu siebie i więźniów – był to przecież rok 1940 – po klęsce Francji i innych zachodnich państw przy równoczesnej, pełnej współpracy Stalina i Hitlera. Był to również okres największego prześladowania Polaków w niemieckich kacetach.

#### Zarażenie świerzem

Pewnego dnia złapano nas kilkadziesiąt „bezrobotnych” i zamknięto w jednej izbie, opróżnionej z łózek. Zabrano nam bieliznę – zostaliśmy jedynie w cienkich obozowych mundurach zwanych przez nas „piżamami”. Co noc dawano nam koce, składane w ciągu dnia na kupę w kącie izby, i kazano kłaść się na siennikach, rozkładanych co wieczór na podłodze „jak popadło”. Już po tygodniu zorientowaliśmy się, że nas tu celowo pozarządzano świerzem (kretzą). I takich nas puszczono na bloki. Roznosiła się ta choroba coraz szerzej w obozie.

Było w obozie trochę maści siarkowej, ale nie dawano jej chorym, gdyż promi-

nenci, sztabowi i blokowi smarowali się nią, żeby się nie zarazić. A od nas odsuwano się jak od zarażonych trędem.

Oczywiście zauważyłem, gdzie sztabowy chował swój zapas maści. Kiedy złapał mnie, jak ją organizowałem i zabrał się do obijania mnie, zdenerwowany skląłem go w obozowym języku od A do Z – że jest nie tylko cham, ale głupi, bo właśnie nas zarażonych należy leczyć, a wtedy nie będą się oni musieli smarować tą ohydą maścią. Zdębiał, zamilkł, zawrócił na pięcie i więcej mnie nie prześladował. A mógł mnie na miejscu wykończyć.

#### „Szczęście” z karnym meldunkiem

Któregoś dnia zabrano nas, około 10 bezrobotnych, załadowano na ciężarówkę i pojechaliśmy poza obóz załadować meble, które dostawiliśmy do koszar esesmańskich. Po przybyciu na miejsce, zwyczajem esesmańskim, biciem, kopaniakami spędzono nas z platformy. Prawie wszyscy w tej grupie byli „muzułmanami” (wykończonymi niedołączkami), to też padaliśmy na ziemię z tej ciężarówki i z trudem mogliśmy się ponieść. Sam omal nie wpadłem na więźnia, który spadł przede mną. Podrywając się na nogi – byłem wtedy jeszcze najsilniejszy wśród tych muzułmanów - podałem rękę, by mi pomóc podnieść się z ziemi.

Czy ta pomoc, czy też coś innego nie spodobało się esesmanowi, bo wpadł na mnie z pasją, na koniec wrzasnął: „Nunmer!” Ja wtedy jeszcze bardzo słabo znałem niemiecki i swój numer podałem po kolei: „acht, sieben, fünf, fünf (8755)”. Niemcy są przyzwyczajeni do podawania numeru w formie: „87-55” – po niemiecku jednak mówiło się „sieben und achtzig – fünf und fünf” (siedem i osiemdziesiąt – pięć i pięćdziesiąt). Spisujący automatycznie pisał pierwszą usłyszaną cyfrę na drugim miejscu, a dopiero następną na pierwszym. Widocznie esesman w swej złości automatycznie w ten sposób zapisał mój numer i wyszło 7855.

Następnego dnia pisarz blokowy powiedział mi, że szukano więźnia z numerem 7855, ale takiego nie ma w obozie (transport z numerami „siedem tysięcy” prawie w całości wyszedł z Dachau do Mauthausen). Wskazując jednak mój numer uśmiechnął się i dodał: „miałeś chłopie szczęście”.

#### Plantage

Obok obozu Dachau istniała duża plantacja ziół, zwana „Plantage” – jedno z wielu dochodowych – bo uprawianych darmową pracą więźniów – przedsiębiorstw SS. Pracowało tam latem ponad tysiąc, a zimą około 600 do 800 więźniów. Zawsze tam można było dołączyć do pracy, bo ludzie chorowali, umierali, wyjeżdżali na transporty, itp.

Ale zawsze była to praca najgorsza i najtrudniejsza, gdyż dobrych prac ludzie nie opuszczali łatwo, a jeśli już, to było na to miejsce wielu kandydatów protegowanych przez kapów czy blokowych. Pewnego grudniowego dnia podczas rannego apelu – kiedy świerzb wyczerpywał moje ostatnie siły – zaskoczyłem kolegów oświadczeniem, że idę na plantage. „Zwariowałeś? W taką pogodę? Taki muzułman? Dostaniesz tam taczkę do ręki i kijem po plecach!”

Ale uparłem się i – o dziwo – paru kolegów poszło ze mną. Dostaliśmy oczywiście taczki i mocno nas tam obijali kapowie i esesmani. Koledzy klęli na mnie, że ich pociągnął na taką idiotyczną eskapadę. Z trudem dotrwaliśmy do powrotu w południe. Zaraz jednak po wejściu do obozu zauważyliśmy, że coś się tu stało. Okazało się, że wszystkich bezrobotnych zabrano na transport do innego obozu. A wtedy dla nas transport to była pewna śmierć. Po południu nie było już ochotników.

#### Spotkanie z proboszczem

W połowie grudnia 1940 roku zwieziono do Dachau księży (głównie polskich) z wszystkich obozów koncentracyjnych - najwięcej z Mauthausen-Gusen, Sachsenhausen, Buchenwald, Oświęcimia. Byłem wtedy bez pracy i prawie kompletnie muzułmanem, wyczerpany nieleczonym świerzem, zmarznięty, głodny. W czasie ćwiczeń dla bezrobotnych, na placu apelowym zatrzymano nas na chwilę naprzeciw transportu księży z Sachsenhusen. Nagle zobaczyłem wśród nich mego proboszcza, ks. Felicjana Nowickiego. Musiał być przerażony moim wyglądem – zdradzał to jego wyraz twarzy – ostatni przecież raz widział mnie zdrowego i silnego tuż przed moim aresztowaniem 15-go kwietnia. Choć sam na pewno był głodny, rzucił mi swój kawałek chleba.

Aresztowany został w połowie sierpnia, to też jeszcze nie stracił wszystkich sił i energii. Wkrótce jednak klimat i rygor dauchaowski, coraz chudsze pożywienie, dokuczliwy tłok w blokach, wyrafinowana „Saubereit” (czystość), polegająca na polerowaniu podłóg, na które nie wolno było wstąpić w butach (trzeba je było zdejmować przed wejściem, myć i ustawiać na specjalnych regałach), jak też wyrzucanie z izb na ulicę bez względu na pogodę, stałe ćwiczenia dla niezatrudnionych na placu lub ulicach obozowych, połączone z kopaniem, obijaniem każdego, kto wpadł pod rękę, oraz długie apele ranne, a jeszcze dłuższe wieczorne (a im gorsza pogoda, tym dłuższy apel), co przy braku ciepłego ubrania było wyjątkowo dokuczliwą formą prześladowania w obozie – wszystko to zaczęło i jemu dawać się we znaki. W połowie stycznia – zima była coraz gorsza, mróz przenikał aż do kości – skarżył się mój proboszcz i wypytywał, czy nie można tu znaleźć jakiejś szmaty cieplejszej jako wkładkę pod obozową kurtkę.

W mojej izbie był jeden, zatrudniony u „krawców”. Umówiłem się z nim, że za połowę porcji chleba w tym tygod-

niu „zorganizuje” coś cieplejszego pod kurtkę. Przyniósł kawałek ciepłej szmaty, ale tak mały, że z miejsca musiałem zgodzić się na następne pół porcji chleba za drugą taką szmatę. Po dostawieniu jej pobiegłem na blok księży i uradowany przekazałem proboszczowi. Te dwa kawałki jednak nie wystarczyły na całe podszycie. Trzeba było drugie tyle. Znowu poszły porcje chleba – tym razem wytargowałem jednak, że co drugi dzień oddawałem dostawcy ćwiartkę, aż do wypłacenia całości. Oczywiście ks. Nowicki nie zdawał sobie sprawy z kosztów transakcji.

#### Pralnia

W pralni potrzebują „Buglera” (prasowacza bielizny) – zawiadomił pisarz blokowy. Myślałem, że „Bugler” to praca przy maszynie do maglowania, a taką widziałem na wolności. W biurze zatrudnienia – przekonani, że na prasowaniu się nie znam – ostrzegali mnie, że Komandofürher (SS szef pralni) Wagner jest niebezpieczny. Ale uparłem się. Nikt inny się nie zgłosił i zaprowadzono mnie do Wascherei (pralnia). Odebrał mnie kapo, bo Wagnera w tym dniu nie było w pralni. Kapo zaprowadził mnie do pomieszczenia, gdzie dano mi do ręki – elektryczne żelazko do prasowania koszul i bielizny. Uśmiechając się pod nosem – wiedział, że zielone mam pojęcie o prasowaniu – odszedł.

Rozejrzałem się, który z obecnych tam prasowaczy jest ważniejszy i zapytałem: „Rauchst du? 100 Zigaretten”. (Palisz? – Sto papierosów) . „Verstanden” (rozumiano) – odpowiedział. I nauczył mnie prasowania. Komando czyste, pod dachem i wpływowe: każdy blokowy, sztabowy, czy pisarz chciał mieć czystą bieliznę i wyprasowaną koszulę.

#### Na funkcji kantyniarza i tłumacza

W 1942 roku zostałem kantyniarzem i tłumaczem w izbie 3-jej i 16-ty. Ponieważ komando pralni pracował w czasie obiadu, przychodził na blok na godzinę przed wieczornym apelem. Miałem więc czas rozdzielić uzyskiwaną z kantyny raz po raz (nie najlepszej, a często podejrzanej jakości sałatkę). Wracający z apelu mieli już gotowe porcje do zakupu.

Działalność kantyniarza zacząłem od zapowiedzenia przy pierwszej takiej okazji, że kto ma pieniądze na koncie, może zabrać porcję sałatki, a po kolacji zgłosi mi do wpisania na jego rachunek. Wszyscy byli zaskoczeni moim gestem – tylko mój poprzednik głośno wydziwiał, jak mogę zawierzyć, przecież mnie oszukają. „To i ty mnie oszukasz?” – rzuciłem mu w odpowiedzi. Zamilkł. Okazało się, że nikt mnie nie oszukał.

#### Podejrzany o tyfus

Pod koniec 1942 roku, kiedy w Dachau panowała epidemia tyfusu, dostałem tak silnej gorączki, że blokowy odstawił mnie do szpitala. Nic mnie nie bolało, ale gorączkę miałem wysoką – 41 stopni C, czyli 105.8 F), więc położono mnie na bloku tyfusowym jako podejrzanego o chorobę. Okazało się, że miałem zapalenie płuc.

Po kilku tygodniach wylizałem się. Zanim mnie jednak zwolniono, zrobiono